

# Wiadomości Polskie

THE  
POLISH NEWS  
WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE  
TYGODNIK

ROK I — NR. 38 — LONDYN  
NIEDZIELA I GRUDNIA 1940

REDAKCJA  
36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.I

ADMINISTRACJA:  
20, BLOOMSBURY ST., LONDON, W.C.I

CENA PRENUMERATY  
kwartalnie  
w Anglii .. .. 6s. 6d.  
w innych krajach .. .. \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać  
czekiem lub „Postal Order” na zlecenie:  
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

STANISŁAW BALIŃSKI

## PORANEK WARSZAWSKI

Wiosna w Warszawie. — Świt na placu Teatralnym. — Dachy Starego Miasta. — Krakowskie Przedmieście. — Księgarnia Gebethnera i Wolfa. — Okno wspomnień. — Zapach warszawskiej kawy. — Przed pałacem Staszycy. — Pomiędzy Kopernika. — Nowy świat. — Stróż w bramie. — Salon literacki pani Hortensji. — Cień Sienkiewicza. — Wspomnienie Teatru Rozmaitości. — Latarnie gazowe. — Sentymentalny włóczęga. — Dorożka. — 1900. — Płyty z Wiktorja Kawecką. — Podwórko warszawskie. — Pelargonie. — Niebo na placu Trzech Krzyży. — Pierwsze bzy. — Letnie suknie. — Balkony. — Cukiernia na rogu alej Ujazdowskich. — Stary „Kurier Warszawski”. — Powiew Paryża. — Powrót do domu. — I tak minął wiosenny poranek... — Przebudzenie. — Żal za Warszawą.

1  
Ktoś obudził mnie w nocy i za rękę chwycił:  
— Chodź, pójdziemy na miasto. Jest wiosna i świta.  
Owiana mgłą poranną, jak lśniącym smaragdem,  
Warszawa cała w kwiatkach. Nie wierzysz?  
Naprawdę.

Potraskane ulice, z których wielkość była,  
Dzieci, śpiące za wolność w bezdomnych mogiłach,  
I krepa nad Ratuszem, zła i bezlitosna:  
To właśnie — ci się śniło.  
Naprawdę jest wiosna.

2  
Naprawdę jest poranek. Pierzchają opary  
Ciepłej, słońkowej nocy, i bzy pachną świeże.  
Na placu Teatralnym lśnią mleki filary,  
Prawdziwie, jakby w powietrzu wisiały.

3  
Zda się, że jeszcze słychać w rannych szepcach wiatru  
Wieczorne jakieś gwary, dziewczki, instrumenty...  
Ach, zatrzymaj się chwile... Patrz, gwóźdźki  
zwiądnęły  
Leży pod filarami u progu teatru.

4  
Na Krakowskim Przedmieściu niebo jaśniejące  
Gasi spóźnioną gwiazdę i odkrywa w głębi  
Dachy Starego Miasta w różowej koronce.  
Nad którymi drży obłok srebrny: to — gołębie.

5  
W oknie u Gebethnera świta dotyk pierwszy  
Ściera właśnie kurz nocy z tytułów i ze słów  
I książki sercu bliskie budzi czule ze snu:  
Tu — Prus w sinej okładce, tam — w krakowskich  
wstążkach  
Wyspiąnski; a po bokach nowe tomy wierszy  
Przyjaciół, którzy w kartkach tych zamknęli życie.

6  
O jak miło, wracając do domu o świcie,  
Przystanąć w oknie wspomnień, pomarzyć o  
książkach.

7  
Poczekaj, nim uderzy rytm ulic powszedni,  
Nim wejdzie dzień prawdziwy — jest taka minuta,  
Miedzy braskiem i rankiem, zatłumiona osnuta,  
Że musisz się zatrzymać i chłoniesz bezwiednie  
Odciekającego czasu wołanie wciąż słabsze...  
Które ci przypomina obce już spojrzenie  
Kogoś, co odjeżdżając, żegna się na zawsze  
I ostatnie przed drogą daje napomnienie.

8  
Tak mija świt młodości. I tak kiedyś minie  
Wieczór życia w samotnej, czarnej pelerynie.

9  
Przepłynęło. Przebrzmiało... Już różowy ranek  
Westchnął, zdzierając strzępy zadumy z nad miastem.  
Ktoś odchyła u Lourse'a biały zwój firanek,  
I z cukierni uderza ciepły zapach ciasta.

10  
Ta woń drożdżowych ciastek i palonej kawy  
Z wanilią, tak znamienita dla ulic Warszawy,  
Muska nas przypomnieniem miłym, rzecznym prawie  
Długich rozmów studenckich przy stygnącej kawie.

11  
A dzień narasta ciągle, idzie ciągle wyżej  
I karminową barwą powietrze nasycza,  
Już dwie zapalił wieże u Świętego Krzyża,  
Dachy Nowego Świata i pałac Staszycy;

12  
Już pozapalał okna na wysokim piętrze  
W rozłożystym pałacu Raczyńskich w oddali,  
Rzekibys, że chłód zalega historyczne wnętrza  
I ktoś czerwony ogień na kominkach pali.

13  
A kiedy dochodzimy do stóp Kopernika,  
Osłoniętego jeszcze przez opar folkowy,  
W naszych oczach nieśmiało go słońce dotyka  
I zdziera mgłę, jak troskę, z zadumanej głowy.

7  
Nowy Świat niby wstążką wije się falistą,  
O tej kolorów porze — błękitną i czystą.

Po nieparzystej stronie — każdy dom znajomy,  
Każdy sklep jakimś dawnym przypomnieniem  
tłoczy;  
Ach, zda mi się, że gdybym zamknął tylko oczy,  
Mógłbym spisać z pamięci pokolei domy.

Przy Świętokrzyskiej z bramy głębin się wymurza  
Na brzeg, jak z głębi stawu, senna postać stróża.  
Nierad wiosennej porze, w tabaczkowym palcie,  
Polewa chmurnie wodą kawalek ulicy.  
Woda tryska, jak obłok, z mroków kamienicy  
I pieni się perłście na czarnym asfalcie.

Przez pianę musującą, świeżą i radosną,  
Biegnie młoda dziewczyna w płaszczu z aksamitu;  
Oczy, pełne tajemnic, odwraca od świtu,  
Rada coby przedzie ukryć się przed dniem i wiosną.

Podobna jest w tym ruchu do zranionej nocy,  
Co mdleje w dłoniach świtu bez siły i mocy.

8  
Przy cukierni Bliklego, zaraz za Warecką,  
Jest dom, owiany zlekką mgiełką staroświecką.  
Idąc tedy zaszłam zawsze rzemieniem okien  
I w przedzielnym, na pół jałowym, oknie.

Chodziliśmy tam kiedyś, jak przez sen pamiętam,  
Na niedzielne herbaty do pani Lewental.  
Gdzie w pluszowym salonie, w secesyjnym stylu,  
Schodziło się pod wieczór sławnych ludzi tytu.  
My dzieci, z ciastkiem w ręku, ukryci w kotarze,  
Patrzyliśmy przez szparę na artystów twarze.

Ach, ta pani w binoklach z cerą jakby chorą,  
To Marja Konopnicka. A ten pan, to Or-Ot!  
A tamten, tegi bardzo, co z fotela wstaje,  
To pan Lenc. Obok niego zgarbiony Tetmajer  
O zapadniętych oczach, postrzępionych nerwach.  
Za nim ten, co w Rostanda gra sztuce — Osterwa.

A w przyległym salonie przez drzwi półotwarte  
Widać cień Sienkiewicza, jak rozdaje karty.

Te panie, to aktorki: Przybyłko, Siennicka,  
Sulima w czarnym boa, w długich rękawiczkach.  
A dalej stoją: Frenkiel, Roland i Kamiński,  
Langę w starym tużarce i smutny Perzyński,  
Gabryela Zapolska z papierosem w ustach,  
Wszystcy jakby wyjęci dzisiaj z książki Prousta.

Pani Hortensja — z pudłem od Wedla — przepływa  
Przez adamaszki, plusze, perfumy i dymy,  
Uśmiecha się do gości, nerwowa, szczęśliwa,  
Z brzydką broszką na piersiach — dar od Deotymy.

Za oknem na podwórzu płynie noc zimowa,  
I zapala się żółta latarnia gazowa.  
Śnieg pada i narzuca na miasto atlasy,  
Zasypując ten salon, tych ludzi, te czasy...

9  
A dzień znów poszedł wyżej. Nocy, bywaj zdrowa! —  
Już pierwsza osiemnastka ramna z Mokotowa  
Skreca z Jerozolimskiej. I starym zwycięzcom  
Warszawskim ktoś zdyszany goni za tramwajem.

Nad wiaduktem i mostem, nad aleją Maja,  
Wiślana młodość słońca poprostu upaja.  
Cóż za ranek cudowny! I jaka pogoda.  
Gdybyż można go wstrzymać. Lecz nie można.

Jakiś komin fabryczny gwizdnął po błękitnie,  
I powoli zaczyna się codzienne życie.

10  
Wszędzie ruch coraz większy, liczejszy przechodnie —  
Od Smolnej z ciemnej bramy wypływa już godnie  
Pierwsza paniusia w szalu, zazwyczaj i tego,  
Niosąc w ręku różaniec, parasol i koszyk. —  
I ostatni leniwie odchodzi włóczęga,  
Którego dzień, jak sierżant, z ławki marzeń spłoszył.

Czestujesz go nieśmiało świeżym papierosem,  
Czy też zechce go przyjąć? Lecz on cichym głosem  
Dziękuję. I ze smetkiem, na twarzy zawistym,  
Idzie — niesyty marzeń i snów — w stronę Wisły.

11  
„Poczekaj!” — za nim wołam, czy za sobą wołam,  
Ja to, czy on, odchodzi po moście przed nami?  
Pamiętasz, jako chłopcy, marzyliśmy w szkołach,  
Żeby spać pod gwiazdą i włożyć się dniami.

Ach, gdybyż można było życiem się zamienić,  
Jemu oddać dni nasze, od niego wziąć cienie,  
I znowu, jak wczoraj, w tym samym miejscu,  
(Za którym dotąd jeszcze tęsknie czas i skrycie),  
Czyje szczęścia prawdziwsze, czyje głębsze rzywdy?

Tę tajemniczy serca nie dowiesz się nigdy!

12  
Tajemnica włóczęgi i sekret miłości  
Najbliższe są nam w porze zmierzchów i pranków.  
Bliski jest więc włóczęga niknący na moście,  
I bliska jest ta para spóźnionych kochanków,  
Co wracają dorożką po miłosnej nocy,  
Której czar tajemniczy poparzył im oczy  
I granatowe smugi położył na twarzach.

Złożyli młode głowy na wianiec kwiatów  
I jadą tak, przez miasto, w cieniu dorożkarza,  
Jeszcze wierni miłości, a już obcy światu.

13  
Turkot starej dorożki sennie się oddala  
I brzmi jak z dziewiętnastych lat melodia walca,  
Którego moja matka tańczyła na palcach  
Na warszawskich wieczorach w Redutowych Salach,  
Trzymając w ręku karnet i wirując ładnie.

Pamiętam tę melodię, ale nieokładnie.  
Niby dzwięczy w powietrzu, — złowić się ją staram,  
Ale dzwięczy za cicho... za dawno... — A naraz  
U wyłotu Książęcej, przed obwarłą bramą,  
Słyszę, że ją ktoś śpiewa tak samo, tak samo,  
Jak śpiewała przed laty — pamiętam od dziecka —  
Na zagubionych płytach Wiktorja Kawecką.

Teraz śpiewa przez głośnik jakiś sopran drżący,  
I patrz, w otwartych oknach stanęły służące  
I każda w zachwyceniu schyla się i słucha  
Nad doniczką, gdzie tli się pelargonja sucha.

Huk surowej trzepakki wpada na podwórko.  
Głośnik zgasł. I służące znikają na górce.

14  
Niebo, niebo wiosenne nad placem Trzech Krzyży  
Rozlało się jak wody błękitne i czyste,  
Po których słońce, płynąc na tratwie złocistej,  
Wiosłuje coraz silniej, wschodzi coraz wyżej.

U dołu błędzą jeszcze chłodu wałki smugi,  
I szmaragdowej rosy kropki drżą na trawie.  
Jakaś dziewczyna, idąc, powiada do drugiej:  
„Patrz, pierwsze bzy zakwitły dziś w nocy w  
Warszawie!”

A dookoła placu, jak nad brzegiem wody,  
Wietrzy się letnie suknie, wyjęte z komody,  
Wirują na balkonach, jak powiewne gracje,  
Wróć lat i rychły wyjazd na wakacje.

15  
W cukierni Galinińskiego na rogu Alei,  
Jak w oberży, nad którą czar prowincji wieje,  
Dzień zaczyna się wcześniej. Już kelner usłużony  
Stoi w drzwiach i wita z uśmiechem pod-  
szanych.  
Już z okna obolała wypływa kasjerka  
W czarnej pluszowej sukni, z kłój-  
dekollet zerkna.

A na werandzie zasiadł przy porannej kawie  
Staruszek o zwidniętej, niedźwiedziej twarzy,  
Przechodzi tutaj codziennie od pół wieku prawie  
I grzeje się na słońcu, drzewce, może marzy.

16  
Właśnie skończył śniadanie i prosi kelnera  
Żeby mu przyniosł ranne wydanie „Kurjera”.  
Wziął gazetę do ręki i czytać ją zaczął,  
Lecz arkusze po chwili z ręki mu wypadły,  
Jakby w nich jakieś inne obrazy zobaczył,  
Inne wyczytał słowa, co dawno już zbladły.

Przymknął na chwile oczy i poczuł się młodziej  
W Warszawie swej młodości, gdy Prus po niej  
chodził.

Młota Warszawa Prusa, rodziców epoka,  
O której każdy myśli przez tży... bo ją kocha.

Żegnajcie... Czas mi odejść. Słońce znowu wyżej  
Poszło, i zegar wybił kwadrans znajome;  
Więc przecinam Aleje, muśnięte Paryżem,  
Potem skręcam na Wiejską — i staję przed domem.

17  
Jak cicho. Wszystkie okna szelnie zasłonięte.  
Brama zabita głucho. Drzwi na klucz zamknięte.  
Na zarośniętym — w głębi podwórza — ogródku  
Leży list zeszlaczony, jak pieczęć smutku.

Naciskam dzwonek ręką, co drży niecierpliwa,  
Ale nikt nie przychodzi, nikt się nie odzywa.  
Nikogo w domu niema. — Czas nad nami płynie  
I odchodząc przyczyna za sobą, I ginie.  
A ja, syn marnotrawny, co wraca zdaleka,  
Usiadłem w progu domu — i dotąd tam czekam.

I tak minął wiosenny, warszawski poranek.

18  
Nie żądajcie ode mnie żadnej głębszej treści,  
Wiem, że sława tam bije z każdego kamienia  
I że będą legendy pisać o tem mieście  
I o meście, co nie zna drugiego imienia.

Ale dziś chciałem tylko dać obraz szczęśliwy,  
Przen światel i woni, niby obraz wioski,  
Polec którą każdy kiedyś wędrował beztroski,  
Obraz nadto pogodny, aby był prawdziwy.

Ale dziś chciałem tylko — wśród grozy wieczora  
W Londynie pod bombami — wrócić do poranka,  
I spojrzeć na Warszawę oczami kochanka,  
Który ciagle nie wierzy, że to było wczoraj.

Powróci czas wolności, wróci wolne życie,  
Przyjdzie dzień, że po nocy upiornej, o świcie,  
W pięknym miesiącu maju Warszawa się ocknie  
I zakwitną obłone kwiaty w każdym oknie.

I znów poranek błysnie, jak tom młodych wierszy,  
Pelen czarów, uroków i uśmiechów bratnich.  
Dla ciebie, o mój synu, będzie może pierwszy;  
Ach, pomyśl wtedy o mnie. Dla mnie był ostatni.

Londyn, wrzesień — październik 1940.

STANISŁAW BALIŃSKI.

W NIEDŁUGIM CZASIE UKAŻE SIĘ TOM  
**WIERSZE O WARSZAWIE**  
Stanisław Baliński — Antoni Bogusławski — Wiktor Gomulicki — Marja Konopnicka  
— Kazimierz Laskowski — Teofil Lenartowicz — Adam Mickiewicz — C. K. Norwid  
— Artur Oppman (Or-Ot) — Włodzisław Perzyński — Antoni Słonimski —  
Edward Słoiński — Juliusz Słowacki — Władysław Syrokomla — Julian Tuwim —  
Kazimierz Wierzyński — Jerzy Żuławski  
M. I. KOLIN (Publishers) Ltd., 36, Great Russell Street, London, W.C.I

STANISŁAW MACKIEWICZ

„O to są pytania“...

Nota angielska do Sowietów z dn. 22 października b. r. stwierdzała, że 1) Anglia gotowa jest uznać de facto panowanie Sowietów nad państwami nadbałtyckimi, 2) że Anglia powstrzyma się od jakiegokolwiek akcji interwencyjnej, zwróconej przeciw Sowietom, 3) że Anglia zapewni Sowietom udział w konferencji pokojowej, która zakończy wojnę niemiecko-polską, która zakończy wojnę niemiecko-polską, która zakończy wojnę niemiecko-polską...

1) Czy istotnie można uważać Stalina za kandydata do wstąpienia do wojny obecnej w charakterze strony chociażby popierającej jeden z obozów walczących? Czy przeciwnie, nie jest zupełnie jasne, że Stalin stosuje tu politykę zupełnie odrębną, oryginalną, polegającą na powodowaniu wojny, na podsycając jej trwania, na usilowaniu przedłużenia okresu wojowania. Stalin reprezentuje przeciw kraj, który kiedyś za czasów nadzwyczajnego poziomu życia w Europie. Obecnie panuje w tym kraju niedzielnia. Obecnie panuje w tym kraju niedzielnia. Obecnie panuje w tym kraju niedzielnia...

2) W angielskiej „Niebieskiej Księdze“ pod nr. 19, a w polskiej „Białej Księdze“ pod nr. 91 znajduje się pakt podpisany przez wicehrabiego Halifaxa...

i hr. Raczyńskiego dn. 25 sierpnia 1939 r., a więc w dwa dni po ujawnieniu paktu niemiecko-sowieckiego, a więc już wtedy, kiedy napaść Sowietów na Polskę stała się oficjalnie prawdopodobną — jeśli się można tak wyrazić. W akcie tym jest powiedziane, że jeśli jedna z układających stron zostanie napadnięta, inna strona śpieszy jej z pomocą. Niema tam żadnej wzmianki, by ten układ wyłączał Rosję z przypuszczenia że może napaść na Polskę. Z noty z dn. 22 października 1940 r. wnioskuję obojętnie, że widać także zastrzeżenia były, aczkolwiek ogłoszone nie zostały. Nie przeszkodzi to nam zadać opinii angielskiej pytania: czy Polska została napadnięta przez Rosję niezależnie od jej udziału w wojnie z Niemcami, czy też poprostu napaść Rosji była bezpośrednim skutkiem wejścia Polski do wojny z Niemcami? Czy były to dwa dramaty, czy też jeden dramat, którego akt pierwszy polegał na odmowie Polski zachowania neutralności w razie napaści Niemiec na Francję i Anglię, odmowie którą Polska wypowiedziała podczas wizyty Ribbentropa w Warszawie dn. 24 stycznia 1939 r.; akt drugi — napaści Hitlera na Polskę dn. 1 września 1939 r.; akt trzeci — napaści Sowietów na Polskę dn. 17 września 1939 r.?

w gorszym położeniu niż Francja dn. 17 czerwca 1940 r. a jednak posłaliśmy na bój rozpaczliwy, i wtedy Sowiety napały na Polskę bezbronną i okrawioną, ponieważ Polski stojącej na nogach się bały i zabrały jej więcej niż połowę narodowego terytorium? Czy Anglii wiedza, że bez ziem wschodnich Polska nie jest w stanie spełnić tych zadań, które wyznacza jej historia po zwycięstwie Anglii nad Niemcami?

4) Czy opinia angielska zdaje sobie sprawę, że Rosja jest państwem geograficznie silnym, ale militarnie słabym, że Rosja nie jest zdolna zmierzyć się z siłami niemieckimi? Czy zdolna jest napaść na kraje azjatyckie, m. in. na posiadłości angielskie, na Indje? Paweł I, cesarz rosyjski, gen. Skobielew, bohater rosyjski ósmego dziesiątka lat zeszłego stulecia, planowali pochód rosyjski na Indje. Gen. Skobielew twierdził, że wystarczy mu dwadzieścia dywizyj kawalerji by zanarczyć Indje. Bolszewicy twierdzą, że Indje nadają się do z bolszewizowania bardziej niż inne kraje świata. Oczywiście, bolszewicy nie zaatakują żadnego kraju, dopóki jest bronią, ale napewno rzucą się nań, gdy przestanie być bronią. Czy wobec tego obietnica nieuczestniczenia w interwencji antyrosyjskiej jest istotnie tak aktualna? Czy nie jest tak, że Rosja zdaje sobie dokładnie sprawę, iż Anglia jej nie zaczepi, natomiast że sama waha się czy we współpracy z Hitlerem nie rozszerzyć swego panowania na taki czy inny kraj w Azji? Czy nie jest tak, że nota z dn. 22 października wzmożła Molotowa w jego pertraktacjach z Hitlerem w Berlinie, nie wzmacniając jednocześnie Anglii?

STANISŁAW MACKIEWICZ

FLORJAN SOKOŁÓW

NEVILLE CHAMBERLAIN

Przyszyły dziejopis wyda sąd bezstronniejszy — niż współcześni — o Neville'u Chamberlainie, któremu wypadło kierować losami Wielkiej Brytanji w najkrytyczniejszym momencie jej historii. Dziś Anglia i śprzymierzone z nią narody składają hołd serdecznej jego pamięci, jako męża stanu o nieposzlakowanej uczciwości i szlachetnych intencjach, który niał przedewszystkiem na sercu dobro publiczne i nie szczędził sił, by służyć niezmordowanie do ostatniej chwili życia sprawie, którą ukołchał. Neville Chamberlain pragnął uratować Europę od katastrofy wojennej. Pamiętne są jego ofiarne, lecz bezowocne wysiłki. Ten gentleman, wychowany w innej epoce i w innych warunkach, nie był w stanie zrozumieć alej potworności takiego fenomenu, jakim jest Hitler, gdy zetknął się z nim w swych wieloletnich pokojowych, nie mógł uświadomić sobie w okresie, poprzedzającym nieuczestny pakt monachijski, całej perwersji moralnej i barbarzyństwa, pobawionego akieholwiek hamulców, których wcieleciem jest Führer i jego system. Nie apominajmy jednak, że błędy popełnione przez Chamberlaina, nie były tylko jego błędami, że odpowiedzialność za nie ponosi wielu innych europejskich mężów stanu, którzy wierzyli w możliwość pokojowego współżycia z Trzecią Rzeszą i z radością ołowiali zażegnanie, a właściwie odroczenie wojny we wrześniu r. 1938. Świat detchnął wówczas z ulgą, coperada na ardo krótko, i nawet najzaciętsi krytycy Chamberlaina nie mogli oprzeć się wrazeniu, że w tragicznym konflikcie nastąpił wrot zbawienny.

Trzeba podkreślić, że po swych smutnych doświadczeniach monachijskich, Chamberlain szybko zorientował się, z jakimi kontrahentami miał do czynienia. Zrozumiał, że pakt ten był tylko pauzą w kryzysie i że należy ją wyzyskać jak najlepiej dla powiększenia sił zbrojnych Anglii. Gdy dn. 15 marca 1939 r. Hitler, wbrew swym uroczystym przyrzeczeniom, wtargnął do Czechosłowacji, Chamberlain zerwał ze starymi tradycjami angielskimi i złożył dn. 31 t. m. w Izbie Gmin wiążącą deklarację o udzieleniu natychmiastowej pomocy Polsce. A gdy w koleji swych skoków drapieżnych Niemcy rzucili się



NEVILLE CHAMBERLAIN

Byłem świadkiem różnych „momentów historycznych“, ale scena, która odbyła się w Izbie Gmin w środę dn. 28 września 1938 r., należała do najbardziej pod tym względem rekordowych. Było to nazajutrz po ogłoszeniu przemówienia przez radio, w którym Chamberlain przedstawił sytuację jako beznadziejną. „Chamberlain sanął przed Izba — by zdać sprawę z swych nieudanych prób ratowania pokoju. Mówił długo, rozwlekle. Słuchacze byli najgłębiej przeświadczeni, że wojna wisi na włosku i że tylko cud może zapobiec straszliwej masakrze narodów. (dy Chamberlain zakomunikował odpowiedź Mussoliniego, że Hitler zgodził się ołożyć mobilizację na 24 godziny, dala się odczuć lekkie odprężenie. Iskra nadziei przemknęła po Izbie. Lecz dopiero, gdy w kilka chwil później premier, któremu sir John Simon wręczył małą kartkę, oświadczył że Hitler zaprosił jego, Mussoliniego i Daladiera na konferencję do Monachium, oświecił uprzedzonych słuchaczy, że kartka ta jest zwyczajnym pomyślnym. Zdał się im wówczas, że zmera wojny europejskiej i ataków powietrznych na Londyn znikła w mgiełki oka. Cala Izba, posłowie, lordowie, dyplomaci, dziennikarze, publiczność — wszyscy wstali z miejsc, bijąc oklaski i wnosząc okrzyki radości. Owacja ta trwała kilka minut.

na Polskę, rząd Chamberlaina nie wahał się ani chwili, by zobowiązanie swe spełnić wypowiadając wojnę. Wahał się niekiedy ministrowie francuscy. Chamberlain dotrzymał słowa. Był człowiekiem o wysokim poczuciu lojalności i honoru.

Neville Chamberlain, który zmarł licząc lat 71, młodość swą spędził w kresu epoki wiktoriańskiej, dostojnej, dostatej, arystokratycznej. Trudno mu było przystosować się do nowych burzliwych czasów. Przypomina mi się pewien drobny, ale charakterystyczny szczegół. Było to kilka lat temu, w dzień wniesienia owego budżetu do Izby Gmin. W „Times“ ukazał się krótki list do redakcji. Piszący donosił, że spacerując po parku St. James, zauważył na drzewie ptaszka — nie pamiętam już nazwy jego — który jakimś dziwnym trafem o tej porze roku przywędrował do Londynu. Autor musiał być pod silnym wrażeniem tego faktu, skoro postanowił zaprzętać nim uwagę publiczną. Dużo podobnych listów zjawia się w pismach angielskich. Osobliwścią w danym wypadku było to, że napisał go sam kanclerz skarbu i późniejszy premier, Neville Chamberlain, że w chwili tak ważnej, przed wygłoszeniem wielkiej mowy, zainteresował się losem małego ptaszka. Nie sądzę, by w analogicznej sytuacji minister finansów jakiegos innego kraju nie miał innych kłopotów niż przypadkowe curiosa z dziedziny ornitologii.

Przed objęciem premierostwa w maju r. 1937 Neville Chamberlain nie miał bezpośredniej styczności ze sprawami zagranicznymi. Wiadomo było tylko, że odnosił się sceptycznie do abstrakcyjnych hasel ratowania świata i że uważał politykę nie za dziedzinę zasad, lecz za sztukę osiągnięcia możliwych korzyści. Po zupełnym bankructwie Ligi Narodów, Neville Chamberlain pragnął łagodzić tarcia międzynarodowe w drodze bezpośrednich kontaktów z szefami państw, z którymi stosunki Anglii były napięte. Usiłował nawiązać przyjaciąną współpracę z Włochami i w ten sposób oddziaływać na Niemcy. Polityka „uspokajania“ nie przyniosła żadnego rezultatu i wywołała ostre protesty w samej Anglii ze strony opozycji oraz wśród części jego własnego obozu. Na tem tle powstał rozłam w gabinecie Neville'a Chamberlaina, który spowodował ustąpienie Edena, lorda Cranborne'a, a później, po kapitulacji monachijskiej, Duff Coopera. Należy zaznaczyć, że Neville Chamberlain bardzo ulegał wpływom swych doradców, a nie zawsze miał szczęście w ich wyborze. Przed samą katastrofą pragnął zbudować nowy „front pokojowy“, ale wypadki stały się już po równi pochyłej, a cios stylu, zadany przez Sowiety, które wyciągnęły bratnią dłoń do Hitlera, pokrzyżował jego plany.

W żadnym kraju zawód polityczny nie posiada takiej ciągłości „rodowej“ jak w Anglii. Trudno też znaleźć gdziekolwiek przykłady, by synowie wielkich mężów stanu dorównywali im, a nawet przesięgali ich swym talentem, jak Pitt młodszy Pitta starszego (lorda Chatham), lub Winston Churchill swego ojca lorda Randolpha. Joseph Chamberlain, „magnus parens“ nowożytnego imperjalizmu brytyjskiego, niegdyś radykał, później leader konserwatystów, który wycisnął swe piętno na dziejach Anglii końca XIX i początku XX w., napewno się nie powstydził kariery swych synów, Sira Austena i Neville'a Chamberlainów.

Neville nie odziedziczył geniuszu i rozmachu swego ojca, trudno też było znaleźć w nim podobieństwo do wytwornego w każdym calu, stylowego w każdym wystąpieniu politycznym brata przyrodniczego. Stary Joe przemyczał go do „business“u. Podczas gdy Austin studiował w Cambridge, przygotowując się do wielkiej kariery, Neville po ukończeniu szkoły w Rugby i Mason College w Birminghamie, zajął się interesami handlowymi swego ojca. Od najwcześniejszych lat zdradzał wybitne zdolności organizacyjne, niezwykłą sumienność i pracowitość, ale ani odrobiny ambicji politycznych. Często mówił, że nie ma najmniejszego zamiaru ubiegania się o mandat poselski i że pragnie przez całe życie pozostać kupcem. Ojcu jego nie śniło się, że Neville będzie kiedyś premierem Wielkiej Brytanji i osiągnie to, do czego predestynowany był Austen. Wysłał go na wyspy Bahamas, gdzie w

przeciągu siedmiu lat administrował z powodzeniem, plantacjami rodzinnymi. Po powrocie stamtąd osiedlił się w Birminghamie, pracując w dziedzinie handlu i przemysłu.

Upłynęło przeszło dwadzieścia lat. Austen szybko wspiął się po szczeblach kariery, piastując różne teki ministerjalne. Neville tkwił w Birminghamie, poświęcając wolne chwile sprawom miejskim. Pod tym względem kontynuował tradycje swego ojca, który przed wstąpieniem na szeroką arenę polityczną wslawił się jako reformator gospodarki miejskiej. I na tem polu jednak Neville Chamberlain posuwał się bardzo wolno. Nie od razu oceniono jego walory. Dopiero w r. 1914 został lawnikiem, a w r. 1915 — 1916 — lordem-merem Birminghamu. Wkrótce potem Lloyd George, szukając dobrych organizatorów spośród ludzi „business“u, mianował go szefem „National Service“ podczas wojny. Na tem stanowisku nie wykazał on większej inicjatywy i znowu wrócił do swego rodzinnego miasta. Wówczas odezwały się w nim ukryte ambicje. W r. 1918 postawił swą kandydaturę i wybrany został do Izby Gmin jako poseł z Birminghamu. Debüt wyjątkowo późny, gdyż miał wtedy około pięćdziesiątki, ale Baldwin również startował w tym wieku i w podobnych warunkach, jako nieznanymi szerokiej publiczności businessman. Do pewnego stopnia karjera Neville'a Chamberlaina była taką samą niespodzianką jak sukcesy Baldwina. W r. 1922 otrzymał pierwsze stanowisko w rządzie, jako minister poczty i telegrafów, a w latach 1924 — 1929 zyskuje większy rozgłos jako minister zdrowia. Na tym posterunku ujawnia talent energicznego administratora, podnosząc stan sanitarny kraju i prowadząc kampanję z głodem mieszkaniowym, a jednocześnie wybijając się jako doskonały parlamentarzysta.

Neville Chamberlain nie był mówcą porywającym. Lakoniczny, rzeczowy, zupełnie pozbawiony frazeologii, posiadał natomiast dar przekonania swym trzeźwym, jasnym, „common-sense“m. Dokładna znajomość każdej poruszanej przez niego sprawy dawała mu do ręki broń, dzięki której mógł mierzyć się z najgroźniejszymi przeciwnikami. Brak polotu i imaginacji wyrównywał praktycznym podejściem do tematu, umiarem i taktem. Neville Chamberlain był po raz pierwszy kanclerzem skarbu przez kilka miesięcy w r. 1923, lecz dopiero powtórne urzędowanie na tem stanowisku przez sześć lat bez przerwy (1931 — 1937) wykazało jego pierwszorzędne kwalifikacje. Zarzucono mu początkowo przesadną drobiazgowość, ograniczone horyzonty, brak konkretnego planu. Nazywano go „brylą lodu“, która zasnada na lawach rządowych, trwożliwym buchalterem, wprowadzającym swe budżety z wdziękiem komornika. I tutaj talent Neville'a Chamberlaina dojrzał powoli, był efektownych skoków. „Lodowaty“ kanclerz skarbu coraz lepiej wywazywał się ze swego zadania. Pilotował przez parlament bardzo trudne bile projekcyjne, zrównoważył budżet, uporządkował finanse. W ostatnich latach nawet opozycja nie szczędziła mu pochwał, jako jednemu z najlepszych kanclerzów skarbu Wielkiej Brytanji.

Przed objęciem premierostwa w maju r. 1937 Neville Chamberlain nie miał bezpośredniej styczności ze sprawami zagranicznymi. Wiadomo było tylko, że odnosił się sceptycznie do abstrakcyjnych hasel ratowania świata i że uważał politykę nie za dziedzinę zasad, lecz za sztukę osiągnięcia możliwych korzyści. Po zupełnym bankructwie Ligi Narodów, Neville Chamberlain pragnął łagodzić tarcia międzynarodowe w drodze bezpośrednich kontaktów z szefami państw, z którymi stosunki Anglii były napięte. Usiłował nawiązać przyjaciąną współpracę z Włochami i w ten sposób oddziaływać na Niemcy. Polityka „uspokajania“ nie przyniosła żadnego rezultatu i wywołała ostre protesty w samej Anglii ze strony opozycji oraz wśród części jego własnego obozu. Na tem tle powstał rozłam w gabinecie Neville'a Chamberlaina, który spowodował ustąpienie Edena, lorda Cranborne'a, a później, po kapitulacji monachijskiej, Duff Coopera. Należy zaznaczyć, że Neville Chamberlain bardzo ulegał wpływom swych doradców, a nie zawsze miał szczęście w ich wyborze. Przed samą katastrofą pragnął zbudować nowy „front pokojowy“, ale wypadki stały się już po równi pochyłej, a cios stylu, zadany przez Sowiety, które wyciągnęły bratnią dłoń do Hitlera, pokrzyżował jego plany.

Cokolwiekby zresztą dało się powiedzieć o tym okresie działalności Neville'a Chamberlaina, pamiętajmy, że odziedziczył on, jako premier brytyjski, po swoich poprzednikach najcięższy spadek, jaki sobie można wyobrazić, że musiał dźwigać na swych barkach przynajmniej część brzoźnego krótkowzroczności i złudzeń, zaniedbań i rozczarowań, błędów i grzechów polityki angielskiej w ciągu dwudziestu lat.

Wielki człowiek, który w chwili, o jakiej marzył, chwili zwycięstwa nad okrutnym, podstępym wrogiem, uosabiającym najczarniejsze instynkty natury ludzkiej, ale wierzył głęboko, że ona nadejdzie. Wierzył, że „sila brutalna, zła wola, krzywda, przesładowania i ucisk“ — tak sformułował w swej słynnej mowie po wypowiedzeniu wojny zło, z którym walczy Anglia — zostaną pokonane i wytepienie. Usuwając od władzy, złożył ją w dobre, pewne ręce swego następcy Churchilla, który spośród żyjących brytyjskich mężów stanu najbardziej jest powołany do przewodzenia Anglii w gigantycznych zmaganiach o jej wolność i o wolność świata.

FLORJAN SOKOŁÓW.

Adam Mickiewicz  
KSIĘGI NARODU POLSKIEGO I  
PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO

Stanisław Wyspiański  
WESELE

Stanisław Wyspiański  
WARSZAWIANKA

Antoni Słonimski  
ALARM

Zygmunt Nowakowski  
PRZYŁĄDEK DOBREJ NADZIEI

Arkady Fiedler  
RYBY ŚPIEWAJĄ W UKAJALI

Ewa Curie  
MARJA CURIE

André Maurois  
DZIEJE ANGLJI

X. Walerjan Adamski  
POLSKI ŚPIEWNIK NARODOWY

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.  
36, GT. RUSSELL ST., LONDON, W.C.1

Księgarnie własne:  
Londyn, W.C.1., 20, Bloomsbury Street, róg Great Russell Street  
Perth (Scotland), 28, King Edward Street  
Na składzie książki polskie oraz wydawnictwa angielskie o Polsce







# SKARB NICA POLSKA

EDWARD SŁOŃSKI

## Wiersze ze zbioru „Tęcza nie zginęła”

### TA CO NIE ZGINĘŁA

I  
*Rozdzielili nas, mój bracie,  
zły los i trzyma straż —  
w dwóch wrogich sobie szancach  
patrzmy śmierci w twarz.*

*W okopach pełnych jęku,  
w słuchaniu armat huk,  
stoimy nawprost siebie —  
ja — wróg twój, ty — mój wróg!*

*Las płacze, ziemia płacze,  
świat cały w ogniu drży...  
W dwóch wrogich sobie szancach  
stoimy — ja i ty.*

2  
*Zaledwie wczesnym rankiem  
armaty zaczęły grać,  
ty świętem kul morderczych  
o sobie dajesz znać.*

*Na nasze niskie szanice  
szrapnelów rzucając grad  
i wolaż mnie i mówisz:  
— To ja, twój brat... twój brat!*

*Las płacze, ziemia płacze,  
w pożarach stoi świat,  
a ty wciąż mówisz do mnie:  
— To ja, twój brat... twój brat!*

3  
*O nie myśl o mnie, bracie,  
i w śmiertelny idąc bój,  
i w ogniu moich strażów  
jak rycerz mężnie stój!*

*A gdy mnie zdala wjrą,  
odrzuć bierz na cel  
i do polskiego serca  
moskiewską kulą strzel.*

*Bo acun na jawie widzę  
i co noc no się śni,  
że TA CO NIE ZGINĘŁA  
wyrośnie z na-jej krwi.*

We wrześniu 1914.

### SZŁY TĘDŻY PUKI KOZACKIE...

I  
*Szły tedy puki kozackie,  
ordę szła-edy moc,  
płakaly pęmi soldackie  
pod oknem przez całą noc:*

*— Gdzie wasze żony i siostry,  
mofolę z dalekich stron?  
— Karabin i bagniet ostrzy,  
to nasze żony i siostry  
i step i błękitny Don!...*

*— Gdzie wasze grody i siola,  
kolebka wasza i schron?  
— Na bój ojczyzna nas wola,  
tam nasze grody i siola  
i step i błękitny i Don!...*

*Dzwoniły szable kozackie  
melodję do prostych słów,  
i w mroku pieśni soldackie  
to rosły, to milkiły znów...*

2  
*Nie mogłem znieść do rana,  
wstawalem i chciałem biec,  
o ziemi moją kochaną,  
ojczyzno moja bez międz!*

*Jakoż mam iść ciebie bronić,  
za ciebie dać moją krew,  
jakoż mam szablą zadzwonić,  
wzając na kół i rzuć szew,*

*gdy ty bez kółców, bez granic,  
otwarta ze wszystkich stron,  
w tych pieśniach z kozackich stanic  
zubiłaś wielki swój ton?*

*Gdzieś pójdę, na jakim szlaku  
śmiertelny dziś stoć bój,  
ja — żołnierz spod twój znaku,  
pancerzny towarzysz twój?*

*Szczerzyły mi w bojach lica,  
śmierć miosę — śmierć w sobie mam!  
„Bogardzica, Dziewica,  
Ty ziści i spuści nam!”*

3  
*I znomen dźwięk szabli ostry  
przyplął ze wszystkich stron!  
— Gdzie wasze żony i siostry  
i step i błękitny Don?...*

*O, Polsko, dotąd mi jęczą  
te głosy — to los, nasz los!  
— Gdzież szable, które tak dźwięczą  
jak ostrza tutej chłopskich kos?*

*Gdzie są te szable?  
Gdzieś blisko,  
gdzieś przy mnie w ręce krawaty...  
Kowale, rozpál ognisko  
i polską szablę mi kuź!*

11 października 1914.

### NA ZGLISZCZACH

I  
*Te pola, które deptał  
i ogniem orał wróg,  
chabrami i rumiankiem  
zasieje z wiosną Bóg.*

*Porosną wonnem zielen  
żołnierskie groby wkrąg,  
zadzwoń ostre kosy  
śródnasznych pól i łąk.*

*I chabry i rumianki,  
wieńczące każdy grób,  
żołnierzom, co poległ,  
poklonia się do stóp.*

*Poklonia się ziutko  
tym smutnym grobom wkrąg  
od tej podartej ziemi,  
od tych zdeptanych łąk.*

2

*Te domy, które burzył  
morderczym ogniem wróg,  
powoli odbudować  
pomocze dobry Bóg.*

*Na zgliszczach, co wystygły  
we mgle jesiennych słot,  
zadzwoń lekka kielnia,  
uderzy ciężki młot.*

*Tak stare nasze smutki,  
radości, łzy i śmiech  
wniesiemy w nowe kąty,  
w podcienia nowych strzech.*

*Piastowym obyczajem  
gościowi u swych wrót  
pod liłą postawimy  
sycony z pastrów miód.*

*I opowiemy, kreśląc  
na czołach krzyża znak,*

*o tej co nie zginęła,  
a której wciąż nam brak!*

29 listopada 1914.

### SEN O SZPADZIE Do mego syna

*Gdy dym pożarów słone gasi  
i coraz krwawszy huczy bój,  
ty mnie nie pytaj, czy to nasi,  
czy to nie nasi, synu mój!*

*Ty mnie nie pytaj, kto zwycięża,  
czyj tryumfalny słychać śpiew —  
naszego niemasz tam ordę,  
chociaż się leje nasza krew.*

*O synu mój, na wszystkich frontach,  
od płowej Wisły aż po Ren,  
przy zapalonych stojąc lontach,  
my swój O Polsce śniemy sen.*

*Niszczą grody, płoną wioski,  
świat cały — ognia krwawy ślup,  
a chłop polski i krakowski  
kłada się w wrót naszych w grób.*

*A my? O los nasz zbladł się troski!  
I nas dosięgnie krwawy cios!  
Wszak celnie strzela chłop krakowski,  
kiedy się Polski waży los.*

*Lecz, synu, nie mów nic o zdradzie!  
To w niemilkującym huk dział  
nasz sen rycerski, sen o szpadzie,  
wreszcie się dzisiał jawą stał.*

3 marca 1915.

### KTO CIEBIE CHCIAŁ, TEN WIERZYŁ...

I  
*O Polsko, Polsko, Polsko,  
kto ciebie chciał, ten wierzył,  
że dobry Bóg się z tobą  
w te krwawe dni sprzymierzył.*

*Kto ciebie chciał?... Nie pytał,  
czy chcących było wielu —  
żołnierskie policz groby  
od Brześcia do Wawelu,*

*junakom zajrzyj w oczy  
aż tam pod Białowiężą  
i wiedz, że tacy sami  
w żołnierskich grobach leżą.*

*Że ledwie polska szabla  
u naszych bram zadzwoni,  
ci, którzy nie wierzyli,  
uwierzą tak jak oni...*

*I staną pod twym znakiem  
w żołnierskiej szarej zbroi,  
ci wczoraj niewierzący  
dzis już mściciele twoi.*

2  
*O, Polsko, Polsko, Polsko,  
luny się wokoło szerzą,  
na gruzach twierd zdobytych  
węglone trupy leżą.*

*Lecz patrz — już dzień twój świta —  
ktoś w ogniu dział i w dymie  
krwią własną na szandarach  
twe święte kreśli imię.*

### SEN O SZPADZIE

spalił w swych sypialniach, pokojach, izbach, poddaszach i norach podziemnych kamiennym snem niewolników. Wszedł, jak przemyślnik, obnażony do pasa. Na plecach dzwigał składowe części drukarni. Był oblawiany pismami, wzywającymi wyzwolenie ciał i duchów. W lewej ręce trzymał żerdz, którą w ciemności szukał obeszczka, strzegącego granic ziemi, w prawej niośle rewolwer, gotowy do strzału. Tak przebywał graniczne rzeki. Szedł w kraj bosy i krwawiący nogi. Tej to nocy przyniesiona została Niepodległość do tego kraju — dar ducha, popychanych pięścią obcego żołdaka. Tej też nocy przyniesiona została deklaracja praw świętego Proletarijusa, które zdeptała przemoc bogaczy. Przynieśli w tedy bezcenne zwitki polskiego zakonu od zaklętych, emigranckich mgoli. Przynieśli „drugą strunę”, zerwaną z lutni nieśmiertelnych. Stapiwszy na ziemię rodzoną, poszedł za jękiem ludzkim. Było ci drogowskazem stękanie pracującego człowieka. Ci, o których nie wiedział Ojczyzna, ci, których trudem pał się świat, znaleźni zostali przez ciebie, podzwinięci, zwzani i złączeni w towarzyski obóz bojowników o wolność.

Któż dziś policy z czoła płońac, które zastali półcy Sybiru? Kto przebrnie objęciami przez ogrom tego cierpienia, które zniósł w kajdanach socjalizm polski? Kto zmierzy długość drogi, którą w śniegach, po grudach i moczarach wygnania wydeptał?

Szarpie dziś jego ciężki i jego nieskalany honor polski dziennikarz, który z zadętymi ogniami idei żyje. Naśladując siępijczów, łączy szlachetny cień żołnierza z młym lotką, który po śladach idzie i chwytł lup. Tęsknem echem żołnierz odbijają się kroki twoje w tajniach ludu, jak echo odbija się w lesie. Jak echo w mroźkach lasu — zamierają. Lecz ty sam jesteś ludem, i krew twoją w lud wsiłką. Na wystygłych kałużach krwi, w dziewicych tajniach wyrastają ciudne legendy, jakich jeszcze Polska nie miała. Budzą się w duszach sny o pióropuszu sławy...

Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie znieważy, żołnierzu! Ona jedna nie zleknie się twoich snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegrana — ona wianę ci dochowa. Urzję i spamiętania dnia twe i noce, mekę, wysilek, trud i sok. Złoży ona twą głowę, stuczoną szablemi kolbami, na węgłowiu z najcudowniejczych wierszy, które dla ciebie jednego wymię po latach z przepychu prastarej mowy. Nakryje twój nagi trup bez złotego pasa i czerwonego kontusza, gdy go lud łódzki z pospolnego dołu wielokroć wykopie, żeby mu dać sosnową trumnę, to jedno co lud dać może, płaszczem dostojniejszą, utkanym z najcudowniejczych barw sztuki, nakrytym. W twoje ręce skostniałe i dopiero w śmierci bezzilne włoży złoty swój sen, sen tyłu pokoleń młodzieży, sen o rycerskiej szpadzie.

Rok 1905.

## NAGI BRUK

chując zzieleniałym kapeluszem ku górnym piętróm, ku widom z balkonów: „Schodź, burżuazja, na dół. Pięknie do spaceru prosimy!”

Kobieta, idąca w środku i ręką podtrzymująca szandar, miała na twarzy wyraz spokoju, jasności, można powiedzieć — wyraz łaski. Widać było zdaleka jej twarz głupią, natchoną miłością. Podnosiła coraz wyżej rękę i coraz wyżej, pewnie odrochu, podnosiła dziecko. A może nie, może nie odrochu. Może w tych minutach wiedziała co czyni. Może je namyślnie pokazywała światu podłemu. Piwniczne dziecko miało twarz posępną, bladą, czarną, spojzenie gniewne i groźne.

Czemż jej miała kryć? Żeby się chowało w rymszoku Ojczyzny? Żeby rosło w poród czarnych ścian piwnicy, po których ciecze wilgoć wieczna? Żeby oddychało kwaśnem, kapuścianem powietrzem i smrodem nocnych wspólnych logiwisk? Żeby żyło bez powietrza, bez światła, bez stawy ludzkiej, w kacie, gdzie się tłoczy i morduje, zaraża chorobami i zbrodniami stado wdeptane w ziemię? Żeby jego światem było podwórze, gdzie powietrze, to wapienny pył i zgnily kurz, a jedyny widok, to czarne cegły? Miała czekać, aż podrośnie i stanie się zeń młodociany włóczęga, ulicznik znający od maleńkości wszystkie rozpuszta wielkiego miasta i wszystkie jego tajemnicze zbrodnie? Miała czekać, aż pocnie zebrać po chodnikach, któremi chodzą weseli panowie i ładnie strojne panie? Miała patrzeć, jak go będą ściągali, łapać, trzymać w kryminalach, kuć w żelaza za jakies niezname jej zbrodnie? Miałaż czekać na chwilę, kiedy

jedyną jego rozkoszą stanie się wódka i zarażona dziewczka? Miałaż czekać aż wyrośnie na założca lub pracownika, co wysypawszy całe ciało w fabrykach dla zysku panów, zamrze śmiercią spracowanego konia, z niewiadomej choroby, zgonem niedzielnym od bunego zgonu nowolca? Któż wie? Może w onej chwili wzdychała, że woli go zanieść na krwawą ofiarę czystego ciała i duchem, istność nieskalaną, niezmaszaną, świętość duszy swej, wykarmioną krwią spod sera, własność jedyną na tym padole, dziecko jasne, zanim je świat odejdzie od łona, pochwyty w szpony, strawi w szczękach swych wszemocnych i rzuci jej pod nogi jak łachman gnijący...

Zupelna pustka stała się w ulicy. Nagie ściany domów, zamknięte okna, zatrzaśnięte drzwi i nagi bruk... Z poprzedniego zaułka wyszedł niespodziewanie jakoby ruchomy odłam muru. Szynele koloru skostniałej ziemi, złotawe baszłyki, niby skiby roli podporanej. Na ten widok wyrwała się z pęt i wybuchła pieśń. Stała się okrzykiem wolności, wydartym z głębiny ducha wielkiego ludu. Niby z otchłani lecała strzała, której żelazce dymi się jeszcze od krwi, padła w pustą ulicę i w nastawiony polusk karabinów...

Rok 1906.

STEFAN ŻEROMSKI.

*Grąkowie i pastuszkowie  
już dla Niej, kiedy szła tędy,  
w spalonych chatach śpiewali  
swe nieuczone kolendy.*

22 sierpnia 1915.

### JUŻ JĄ WIDZIELI IDĄCĄ...

*Już ją widzieli idącą  
żołnierzem w naszych okopach —  
koronę miała na głowie  
i krew zakrzepłą na stopach.*

*Już ją widzieli idącą  
w przedśmiertnych swoich tęsknotach  
ci, którzy z ran umierali  
w poleskich borach i błotach.*

*Widzieli ją i mówili,  
że tędy droga jej bieży,  
kiedy rząd mógł żołnierskich  
bez krzyków gdzieś w polu leży.*

*Widzieli ją i mówili,  
że z tun wyrosła czerwonych,  
z żołnierskich głódów i chłodów  
i z zasług niezaplanych.*

*Widzieli ją i mówili...  
Więć coraz dalej się szerzy...  
— Czyżby naprawdę wyrosła  
z serc tych zabitych żołnierzy? —*

*Więć coraz dalej się szerzy,  
chylły się aż do ziemi...  
— Już ją widzieli idącą  
bartnicy i drwale w borach.*

*I tam, gdzie jeszcze nad ranem  
śmiertelne świstały kule,  
wieczorem stary pastuszcznik  
z melisłą obchodził ulę.*

*I tam, gdzie wczoraj śmierć była,  
dzis pieśń pod niebo się wzbija:  
— Bogardzica, Dziewica,  
Bogiem sławiona Maryja!*

18 stycznia 1916.

### DO ROSJI

*Wielka ty była i ciemna,  
w mroźkach gubiłaś swe kształty —  
od Sachalinu do Niemna,  
od Archangielska do Jalty.*

*Biednaś ty była i bosa  
i głodna na czarnej ziemi,  
choć ośmiewałaś niebiosa  
cerkiewiami złotogłowem.*

*Od posad tobą do powal  
brząś Sienka Razin z Jermakiem,  
Piotr Wielki ciebie hudał,  
swym carskim zbijał kulakiem.*

*Trzeszczały lby pod razami,  
chylły się aż do ziemi...  
— Zmlij się, zmij! nad nami,  
rabami tuemi, grzesznemi —*

*Carom i Bogu na chwale,  
skłapaną w schizmach kaerskich,  
tyś świeczki żółte i białe  
paliła w laurach Pieczerskich.*

*I male płomyki pełgaty,  
pod dziki chichot szaleniów,  
a tobie w móż się wysyłały  
upioły Groźnych Iwanów.*

*Więć bliś w cerkwiach polonij,  
kulaś kładawy i kraty,  
carami smagałaś żywoję,  
no Sybir wlokłaś armię.*

*I rosłaś tak, rosłaś, ciemna,  
zakła, zakrała wana,  
boga a czarownicę,  
modlała się a pijana.*

*Dziś nie ta ty, choć ta sama,  
jednaka czyniłaś tutej miara —  
car w turmach niewolił chłama,  
cham zatłukł holbantę cara.*

*I dziś ty bez cara carska  
i ciemna, tak samo ciemna,  
ziemię słowiańsko-tatarską  
od Sachalinu do Niemna!*

12 września 1915.

### NIEMIEC

*Bil pejczem Żydów w miasteczku,  
gdzie pełnił wojkowa straż,  
na ludzi z psami polował,  
matkom więzionych plul w twarz.*

*Rabował lasy i pola,  
wyczoł wszystko co mógł —  
i Boga wywołoby z Polski,  
gdyby sirowcem był Bóg.*

*Dziś przypiął znaczek czerwony,  
klory w kufierku swym miał —  
i naraz z junbra pruskiego  
kamratem dobrym się stał.*

1918.

### NAD POLSKIM MORZEM

*Szum błękitne morze,  
bije skroś śnieg i szron:  
— Skąd wy żołnierze mili,  
z jakich dziedzie stron? —*

*— Od Polski my tu przyszli,  
od Karpat i od Tatr,  
choć w drodze miał nam w oczy  
mrozący, ostry wiatr.*

*— Od Polski my tu przyszli,  
sam dobry Bóg nas strzelił,  
a płowa Wisła wiodła  
na twój ojczyzny brzeg.*

*Huczy wzburzone morze,  
rozbija się w tam...  
— Czemuż was nie przywiodła  
do morza Gdańska bram?*

*Jak piorun na bagnietach  
lutowe słonce drży...  
— Do morza z Polski mogą  
dopłynąć tylko kry. —*

*Zerwał się wicher z morza,  
skoczył na brzeg jak law...  
— Popłynię jeszcze Wisłą  
do morza żywa krew... —*

Puek, 10 lutego 1920.

EDWARD SŁOŃSKI.